

Warszawa dnia 20 Listopada / 2 Grudnia 1868 roku.

Nr 48 | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

ŁOKIEĆ i WAGA.

W dzisiejszym wieku śmiejemy się już i z litością spoglądamy na człowieka, opowiadającego nam: że widział djabła ubranego we fraczek, w kapeluszu z warkoczem na rogatej głowie, w długą kamizelkę, przy baranich nóżkach i kogucich pazurach. Parskamy głośno, kiedy nam kto opowiada o wielkiej rzeszy opętańców, odkąd przekonaliśmy się, że na tego rodzaju chorobę, najlepszem lekarstwem jest doktór, czasami groźba, niekiedy bat. Bierzemy się za boki jeśli ktoś nie chce się pannie oświadczać, że to jest dzień feralny, jeżeli wyprowadza sobie złe wróżby zobaczywszy księdza, pogrzeb lub starą kobietę. Jednem słowem, każdy rozsądny, ukształcony i mający pretensję na ukształconego, dziś żartuje sobie i oburza się bardzo sprawiedliwie, na wszelkie tym podobne przesądy i zabobony. Oburzamy się na to — i nic słuszniejszego, bo takie rzeczy stanowią ujmę, prawdziwie są czarną nocą pośród ludzkości, są fałszem na drodze postępu, belką w oku tych co w nie wierzą.

Jednakże pomimo wszelkich doskonałości, jakie co dzień prawie zdobywa sobie świat w każdej gałęzi wiedzy pomi-



Szyb kopalny zegarmistrza (do Strony 383-ej).

mo potępienia, jakiem obrzucano nie jednę rzecz wielkiej niegdyś doznającą powagi a w istocie nierozsądną, śmieszną, nie dającą się pogodzić ani z nauką ani z miłością bliźniego, dziś, tak jest—dziś jeszcze wiele i bardzo wiele znajdujemy wśród nas samych przesądów, za które musimy się wstydzić, które nas poniżają, a które bądź co bądź wyrwać co prędzej potrzeba. Tą, że tak powiem, dziurą w moście naszego społeczeństwa, tą solą w oku, tą kolką w boku, jest pewna przedawniona niechęć u ludzi żyjących w tak zwanym *lekkim chlebie*: do stanu rzemieślniczego, kupieckiego handlowego, do *łokcia i wagi*. Czy w tej niechęci jest choć szczypta zdrowego rozsądku? Nic a nic. Zapytajmy się siebie samych, ale poważnie, coby to było, gdyby cały kraj składał się tylko z panów profesorów, doktorów, księży i urzędników? Ktoby nam szył buty, czapki, surduty; ktoby nam budował domy, wyrabiał zegary, lichtarze; ktoby nam sprzedawał bawełnę, skóry, mięso, książki, herbatę, cukier, i t. p. Zastanówmy się co by to było, gdyby całe społeczeństwo usiadło jak spanoszony próżniak w fotelu i zawołało: co mi tam nie będę nic robił, jestem sobie panem i kwita! Nędza, ogromna nędza, zmusiłaby znów ludzi brać się do młota, kowadła, kopyta, do łokcia i wagi, a którzyby się do tego wzięli pierwsi, uważani by byli jako najwięksi dobroczyńcy ludzkości. Rzecz to jasna jak światło. Zdaje mi się, że nawet każdy dobrze ją rozumie.

Jeżeli więc tak jest, to dla czegóż znajdują się jeszcze pomiędzy nami rodzice, którzy boją się jak ognia, żeby ich syn nie został mularzem, cieślą, szewcem lub krawcem, albo żeby ich córka nie wyszła za rządcę, kuśnierza, mydlarza lub tkacza? Dla czego młodzież z woskowanych posadzek nie raczy uścisnąć pracowitej ręki majstra i czeladnika, a nadęte urojoną wielkością panie, boją się tylko splamić od łokcia lub wagi? Na to jedna jest tylko odpowiedź: brak rozumu—przesąd. Tak jest, to przesąd, który dawno już przepaśćby między nami powinien, dawniej może nawet niż czarownice, djabły i opętańce. Jest to przesąd, którego dla korzyści ogółu pozbyć się najrychlej winniśmy. Praca dla siebie samego wzbudza poszanowanie, praca dla drugich uszlachetnia; każdy więc człowiek, prowadzący jakiekolwiek rzemiosło, jeżeli tylko ono przynosi korzyść i dla niego i dla kraju, dokonywa czynu szlachetnego, uszlachetnia się. Niezmiernie wyżej on stoi nad całą tą zgraję próżniaków, co to jak pieszczone lalki, trwoniąc nie przez siebie zarobione pieniądze, nic nie robią, bo nic nie umieją, tylko jedzą, piją, wycierają kąty i gorszą drugich. Za granicą synowie krociowych panów idą do rzemiosła i każdy ich poważa; a u nas byle tylko komu znośnie się powodziło, niech tylko rodzice dojrzą w kuferku cokolwiek grosza, zaraz chcą mieć dzieci: sędziami, naczelnikami, prezesami, biskupami i t. p. Tymczasem te wymuskane dzieci, często zamiast pociechy i podpory, zmartwienie tylko, zgryzotę i biedę przynoszą swym wychowańcom, albo nawet i przeklinają potém rodziców, że im wybrali stan czy to nieodpowiedni ich usposobieniu, czy też nieprzynoszący im stosownego procentu od pracy; a czyżby nie lepiej było ten grosz jaki taki zachować, lub wreszcie wydawszy go już na edukację dziecka, oddać takowe potem do rzemiosła? Lecz odezwie się tu może niejedna matka: Ja miałabym patrzeć, jak mój syn będzie chodził przepasany fartuchem, jak będzie mierzył łokciem i wagą—nigdy! O matko! ty nie chcesz patrzeć na syna ozdobionego fartuchem, łokciem i wagą, ty nie chcesz widzieć swej córki sprzedającej w sklepie, matko, nie mów tego, bo grzech nierozsądku wychodzi z ust twoich, zaprzyj się lepiej tych słów i nie powtarzaj ich więcej,—bo kto wié, czy jakby za karę za nie syn twój nie będzie kiedyś żebrał u tych ludzi chleba i wody. Lepiej, stokroć lepiej przepasać się robotniczym fartuchem, wziąść do dłoni kielnię, igłę, łokieć i wagę, aniżeli być pasożytem swych braci lub ściskać i całować obmierzłą dłoń lichwiarzy. Praca to kapitał. Pamiętajmy na to. Pamiętajmy, że czas ciemnoty, uprzedzeń, rozdziałów, przesądów i zabobonów gdzieindziej dawno już przeminął; przeto nie zostawajmy w tyle jak marudery, ale przy świetle rozumu idźmy ciągle naprzód i pracując litujmy się nad tymi, którzyby tego światła pojąć nie chcieli, którzyby je przyćmiewali lub gasili. *Łokieć i waga* tak są szacunku godne, jak stan urzędnika, autora, kapłana lub obywatela wiejskiego. Więcej i usilniej kształćmy dzieci na dobrych i zacnych rzemieślników, niżeli na elegantów i złych uczonych—a z pewnością żałować tego nie będziemy.

NITKA.

Warczy w palcach wrzeciono,
Sunie srebrne przędziwo;
Nić osnową kręconą
Mknie raz wolno, raz żywo.
Nitko, ty nitko wiotka,
Czy będziesz ty utkana
W szarą siermięgę kmiotka?
Czy zbieloną, zgładzoną,
Wzorzyście przerobioną,
Wprzędą w złoty strój pana?
Czy z ciebie żagle zrobią,
Co nad falami wieją,
I przez wodne bezdroża
Niosą chleb nasz za morza?
Czy ołtarz przyozdobią,
I sierotę odzieją,
Lub nędzarza otulą
Twą żebraczą koszulą?
Może będziesz godową
Szatą ciszy trumiennéj,
Lub chorągwią bojową,
W pośród wrzawy wojennej....
Aż twój rąbek zszarzany,
W końcu złożą na rany,
Lub—na ziemię rzucone—
Strzępki zdarte starością,
Co dziś niémi wiatr miecie—
W księgi będą zmienione
Zapisane mądrością
I noszone po świecie!

M. H.

WIT STWOSZ.

Drzeworyt, który załączamy do niniejszego artykułu, przedstawiający siwego, ociemniałego starca, o przedziwnie pięknem obliczu, starca, na którego

. ... Kto okiem choć z przypadku rzuci,
Temu źrenica pewno w miejscu stanie,

I już od niego duszy nie odwróci,—
Bo jakaś wielka i dzielna wspaniałość
Świeci od czoła zoranego znojem;
W całej postawie jakaś dziwna stałość
Przemawia ciszą i wielkim pokojem....

obok ślicznej dzieweczki, o której powiada poeta, że jest:

..... Czysta jako Bóg ją stworzył,
Kiedy swą gwiazdę na czole położył.—

Drzeworyt ten przedstawia największego w dziejach sztuki naszej artystę, który dla całej Europy był człowiekiem wielkiej artystycznej epoki— Wita Stwosza.

Artysta natchniony poematem Wincentego Pola oddał pędzlem chwilę, w której ociemniały mistrz, mówiąc do młodej odrośli swego rodu:

Czuję to, wnuko, że się koniec zbliża,
I bardzo tęskno mi w tej długiej nocy,
Lecz czuję także, żem jest w Bożej mocy,
Bo patrząc w Niebo, widzę znamię krzyża.—

skupia ducha, myśl zwraca w przeszłość, przebiega losu swego koleje, żeby je opowiedzieć swej wnuczce.

Radzibyśmy i my czytelnikom naszym opowiedzieć tu żywot mistrza, lecz się cofamy przed trudnością zadania. „O Wicie Stwoszu,—mówi Wincenty Pol,—napisano tak wiele, że zachodzi trudność, co począć z tym materjałem, na którym się jednakże z pewnością oprzeć nie można, a to właśnie z tego powodu, iż bardzo wiele o nim napisano i z bardzo różnego stanowiska zapatrywano się i nań i na dzieła jego. Jedni uważali go za giermańskiego artystę, inni za Polaka; jedni przypisali mu dzieła, które nie są jego dłuta, inni cytują jego prace i sądzą o nich niewidziawszy tychże. Jednym brak historycznych wiadomości, drugim znawstwa sztuki. Wśród tego bałamuctwa, najlepiej zostawić wyjaśnienie rzeczy czasowi”.

Rozgrzeszeni w ten sposób przez poetę, co pieśnią uczcił pamięć twórcy tylu arcydzieł, jesteśmy usprawiedliwieni przed czytelnikami, że w tym krótkim zarysie opowiemy życie, „mistrza Wita” na sposób Wincentego Pola i przeważnie jego słowami.

W Niemczech napisano bardzo wiele o Wicie Stwoszu, którego liczne dzieła tam się znajdują i którego z tego powodu częstokroć brano za giermańskiego artystę, chociaż w nowszych czasach okazały fakta, że był Polakiem i z Krakowa rodem. U nas zwrócenie powszechnej uwagi na jego utwory i odświeżenie jego pamięci i zasługi w narodzie, zawdzięczamy głównie poczciwej pracy niedawno zmarłego Ambrożego Grabowskiego, który zbadaniu szczegółów jego życia długie lata mozolnych poszukiwań poświęcił.

Jak powiedzieliśmy, dzieła jego artystyczne nie są dotąd wystudjowane i ocenione dostatecznie, ani u nas, ani u Niemców. Jest wielka liczba artystycznych utworów, które jemu przypisują, a które rzeczywiście nie są jego dłuta, ale tylko uczniów jego szkoły, inne zaś, które są rzeczywiście jego dłuta lub rysunku, nie są dotychczas bliżej poznane. I nasi i niemieccy pisarze przypisują mu albo za bardzo wiele, albo za bardzo mało. Tak np. przedsionek Ś-tej Barbary w Krakowie jest niezawodnie jego rysunku, a czterech ojców kościoła jego dłuta; na te wszakże jego prace mało zwracano uwagi, a natomiast przypisywano mu inne, które nie są ani jego czasu, ani nawet jego szkoły. Wszystko to czas rozjaśni, tym czasem w zbyt śmiałe sądy zapuszczać się nie należy.

Wit Stwosz był architektem, malarzem, złotnikiem, rzeźbiarzem i jak wszyscy wielcy mistrze tego czasu, nawet rytownikiem swoich własnych prac. Wszakże, gdyby był nietylko 95 ale trzysta lat żył, nie byłby wykował własną ręką tych dzieł, które mu przypisują w Niemczech i u nas, a do których tylko zaledwo mógł podać wzory. Był więc przedewszystkiem rysownikiem, twórcą, kompozytorem, pomysłodawcą, a wreszcie bacznym kierownikiem wykonania, którem bardzo różna czeladź trudniła się pod jego okiem. Drobnych tylko rozmiarów dzieła przypisać można jego własnoręcznej pracy i w tych też najwspanialej odbiła się wszechmocność jego genjuszu, bo nawet materjał umie tu zmieniać według woli: marmur przybiera miękkość, drzewo staje się na jego zachcenie bronzem,—drewniana rzeźba staje się malowidłem, malowidło rzeźbą.

Wit Stwosz urodził się w Krakowie, w początkach panowania Kazimierza Jagiellończyka, w roku 1447, a żył pod panowaniem Jana Alberta, Aleksandra i Zygmunta I starego. O młodych latach jego, niewiele wiadomo. Poeta szybko je przebiega:

Jużem się z młodu wziął do dobrej pracy,
Stojąc przy cechu. A byli tam tacy,
Co przed oczyma stali, jak wzór żywy,
I kierowali do pracy poczciwej...
I byłem czysty i jeszcze bez grzechu.
Gdym się wyzwolił już w malarskim cechu,
I miałem w ręku, już kawałek chleba,
I czekać było tylko łaski Nieba!

Największem i najsłynniejszem dziełem Stwosza znajdującem się w Krakowie, jest wielki ołtarz w kościele Marjackim, uderzający jeżeli już nie samem artystycznem wykonaniem, pełnem niezrównanego mistrzowstwa, to użyciem środków artystycznych, nieznanych i nieużywanych w owym czasie.

Ozdabiając najokazalszy kościół wielkim ołtarzem, wypadało żeby ten ołtarz już od wielkich drzwi wchodowych uderzał i odpowiadał rozmiarom całego kościoła. W środku tego ołtarza umieścił artysta gruppę kolosalnych figur, przedstawiających chwilę uśpienia N-ej Panny. I już od wielkich drzwi wchodowych, rzuciwszy okiem na ołtarz, jest ta gruppa zrozumiała, a cała kompozycja ołtarza skupiona w niej, zamknięta ramami jak obraz, odpowiadająca rozmiarom kościoła, zatrzymuje poważnie oko i nie zmusza nawet do zbliżenia się, bo już z tej odległości widać tyle, ile widzieć trzeba i można zrozumieć to, co artysta chciał mieć zrozumianem; co więcej, w miarę przybliżenia się od wielkich drzwi wchodowych ku wielkiemu ołtarzowi, uderza to dzieło sztuki coraz to czem innem, bo zrazu wielkiemi linjami architektonicznemi, dalej występuje środkowa część ołtarza, jak główny i osobny obraz i uderza środkami malarstwa, a w końcu dopiero poczynamy rozróżniać kształty plastyczne, — architektoniczne linje spływają się z gmachem, a z płaskiego obrazu występują w konturach kolorytu rzeźbione postacie dziwnie święte i piękne.

Tem co tę środkową grupę dla oka tak bardzo skupia i podnosi, jest arcykosztowne użycie kolorów, w których przeważa złoto, tak że skrzy-

dła ołtarza gasną na pierwszy rzut oka i dopiero w miarę przybliżania się wiążą uwagę.

Dzieło tedy sztuki, które naprzemian, w miarę oddalenia tylko, uderza duszę linjami architektonicznemi, następnie konturem i kolorytem malowniczo, jak obraz, a w końcu plastycznemi kształtami, jako rzeźba,—takie dzieło skupia w sobie środki trzech sztuk i już z tego względu uważane ma stronę powszechną w sztuce religijnej i należy do najosobliwszych pomników, na których okazuje się wspólne pochodzenie sztuk pojedynczych i ich skupienie w duchu twórczym i w natchnieniu religijnem.

Jak gdyby te potrójne środki artystyczne, nie były jeszcze dostatecznemi do oddania jego myśli, artysta uciekł się do czwartej i w kompozycji użył jej sposobów, kiedy sztuka plastyczna z natury swojej przedstawiać może tylko jedną chwilę. Wit Stwosz zapragnął, żeby jego utwór tak jak pieśń, nie przestając być całością, przedstawił nie moment jeden, lecz całe dzieje obranego przedmiotu. Cztery tedy wielkie chwile żywota Marji: betleemską stajenkę, uśpienie, wniebowstąpienie, koronacją przedstawia sam środek ołtarza, idąc od dołu ku górze, rozmiarami zaś pojedynczych figur i obrazów umiał tak zarządzić artysta, że z każdego punktu kościoła widać coraz inne szczegóły, że linje i postacie uduchowniają się od dołu ku górze coraz więcej, a w najwyższej glorji jaśnieje na przezroczu kolorowych szyb Św. Trójca, u góry w służbie aniołów i apostołów narodu.

Dziwić się nie można, że ogólna myśl tego starca, utopiona w tym nieledwie zamęcie filigranu gotyckiego, architektonicznych ozdób, nie tak łatwo odgadnąć się daje i przejąć widza jednem wielkiem, a świadomem swej przyczyny wrażeniem.

O ołtarzu marjackim możnaby napisać dzieło, w każdym jednak razie to jest największym dowodem wielkości mistrza, który go stworzył, że znawca i nieznawca z uczuciem uwielbienia przed nim staje i że jego widok nawet w prostaczkach nie kuszących się odgadnąć myśli, która kierowała dłonią twórcy w chwili tworzenia, podnosi ducha i podziw obudza.

Nad tem arcydziełem Stwosz pracował przez lat dwanaście, chociaż i tutaj, jak przy wszystkich innych, wielkich jego utworach, obce ręce przyczyniały się do pracy pod jego kierunkiem i dozorem.

To dzieło i inne jego twory, szeroko rozniosły po świecie sławę imienia Wita. Kiedy był w samej sile wieku, około r. 1486—1488, wezwano go po raz pierwszy do Norymbergi dla skreślenia rysunku na grobowiec Ś-go Sebalda. Grobowiec ten, co do rozmiaru jest największem dziełem skulptury w świecie chrześcijańskim, a odlany został z bronzu, przez sławnego Vischera, który współczesny ze Stwoszem był tak słynnym mistrzem w śpiżu, jakim Kraft był w kamieniu, Albrecht Durer w pędzlu, a twórca ołtarza marjackiego w dłucie. Pierwotne założenie Stwosza do tego pomnika nadawało mu jeszcze większe rozmiary, zawsze jednak wykonanie, acz w zmniejszonej skali, nastąpiło podług jego wzoru.

Wróciwszy do Krakowa, Stwosz zaczął pracować nad grobowcem Kazimierza Jagielończyka, znajdującym się w katedrze na Wawelu.

Grobowiec ten jest to wielki poemat,— powiada Wincenty Pol.—Sam sarkofag odnosi się zapewne do czci zmarłego króla, ale w ośmiu kapitelach, na których się wspiera baldachim tego sarkofagu, napisane są wielkie rzeczy i powszechnego znaczenia,

Już myśl umieszczenia w ozdobach kapitelów najwyższych prawd obiawionych, jest oryginalną. Cóż dopiero, gdy się zastanowimy, że od stworzenia świata, od strącenia pysznych aniołów z Nieba i upadku człowieka przez grzech pierworodny, jest tu wszystko w wielkich symbolach i typach artystycznych wyrażone, aż do sądu ostatecznego.

Wit Stwosz jest tu Dantem w dłucie, a ten pomnik jest w swoim rodzaju Boską komedją w kamień zaklętą!... Nigdy też Wit Stwosz nie wzniósł się wyżéj w żadném dziele swojem, nigdzie nie jest twórcza jego fantazja bogatszą, głębia ducha większą, religijne natchnienie wyższem, całość bardziéj uderzającą i wykończoną, tak w ogóle linji jako też i w najdrobniejszych szczegółach.

Po tém wspaniałem dziele, nieszczęścia rodzinne dotknęły mistrza. W poemacie bardzo prostemi słowy opowiada je wnuczce:

I rok nie ubiegł, a żone-m pochował,
Nie ubiegł drugi, a syn na mych ręku
Skonał przedwcześnie.—i jam się spasował,
I życie oraz obrało się z wdzięku,
I duch uleciał do pracy ochotny....
I choć z dniem każdym sława moja rosła,
Z wielką żałością dusza mi się niosła,
I byłem nędzny i sercu samotny.
Na Spiżu nowe stawiano kościoły,
Więc tam jechałem, by uciec od smutku,
I praca moja nie była bez skutku....
Lecz bardzo wielkie, wielkie to mozoły,
Pracą się bawić i ująć boleści,
Kiedy dla serca smutne tylko wieści.

W kilkanaście lat po pierwszej swojej bytności, w r. 1500 Wit Stwosz powtórnie udał się do Norymbergi, w której już miał resztę życia pozostać. Podanie mówi: że wychodząc z Krakowa po raz drugi, wszystkie pieniądze oddał na ubogich i wziąwszy kij pielgrzymi, puścił się w drogę.

Na ziemi niemieckiej wsławił się mnóstwem nowych dzieł, których tutaj wyliczać brak miejsca nam nie pozwala.

Norymberga niewdzięcznie się znalazła względem mistrza, który był jej chlubą. W skutek oskarżenia o jakieś fałszerstwo czy zaparcie długu, oskarżenia będącego może wypływem zawiści współzawodników, trudno bowiem przypuścić, żeby człowiek tak wielkiego umysłu, takiej religijności i czystości obyczajów, jakim był niezaprzeczenie Wit Stwosz, aby człowiek co genjuszem wiek swój wyprzedził i całe życie swoje, cały swój talent Bogu poświęcił, mógł się dopuścić nikczemnego czynu,—otóż w skutek takiego oskarżenia, skazano Stwosza na hańbiącą karę piętnowania policzka. Co jeszcze bardziej potwierdzać się zdaje, że kara owa była tylko dziełem zawistnej intrygi, to fakt, że zazdrośna o mistrza swojego Norymberga, wymogła na nim przysięgę, że jej murów do śmierci nie opuści, — być więc bardzo może, iż w uniesieniu tej municypalnej zazdrości chciano mu odjąć ponętę złamania przysięgi, naznaczając go piętnem sromotnem.

Zaszła więc z Witem Stwoszem historja, która się powielekroć w dziejach sztuki powtarza. Z każdem wielkiem dziełem sztuki średniowiecznej, z każdym pomnikiem tamtoczesnej architektury,

łączy się miejscowo jakieś niemiłe podanie, które oskarża zazwyczaj mistrza lub gminę, dla ktorej pracował. Tu brat zabił brata, za to że większego dzieła od niego dokonał; tam ojciec przeklął syna, zato że okazałą wieżę budując, djabłu się zapisał, więc kiedy kładł ostatnią cegiełkę spadł z wieży i zabił się; tam znowu wynalazł jakiś wielki majster zegar osobliwy, na podobieństwo niebieskiego zegaru, na którym Bóg zawiesił wagi, więc rada miejska, pragnąc aby żadne miasto podobnej osobliwości nie miało, kazała mu wyłupić oczy, w nagrodę jego dzieła i wsadziła go do turmy, ale po jego śmierci stanął zegar i stoi po dziś dzień i nie ma takiego coby go naprawił.

Tak być musiało, a nawet było tak z Witem, który zapewne nie bez gorzkiej skargi na współczesnych, około r. 1534, w podeszłej starości życie doknał, utraciwszy wzrok w późniejszych latach.

I na tem koniec, i koniec powieści....
Grób to lekarstwo na wielkie boleści....
Na obcej ziemi kości mistrza legły,
Grób zapomniany—i wieki ubiegły...
A przy ołtarzach jego, klęczą ludzie,
A po grobowcu jego, wiek nasz czyta;
I spracowany w bardzo wielkim trudzie
O imię mistrza i zagadki pyta,
Które w swych dziełach wielki duch poznaczył,
A nie ma tego, coby je tłumaczył....

Zwłoki Stwosza spoczywają w Norymberdze na cmentarzu S-go Jana, obok grobu Albrechta Durera, który choć młodszy znacznie, o kilka lat przed Witem, życie zakończył (w r. 1528). Napis na grobowcu posągową prostotą godny jest mistrza. Znajdują się na nim wyrazy: *Witowi Stwoszowi i jego potomkom.*

W. S.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz N. 47-my).

Wcześnie więc próżne dziewczę pod takim wpływem marzyć o tem zaczęło, aby dzięki pięknej twarzyczce, karjerę zrobić na świecie, aby zdobyć bogactwo i to wszystko, co za niem idzie, ku czemu miało pociąg wrodzony, do czego się znałogowała wychowanka pałacu, aby już nigdy nie powrócić do tego stanu, z którego traf ją wyrwał szczęśliwy, który, porównany z obecnym, tak poziomym się zdawał, a ciągle otaczany pogardą przez wielkich panów, tak znikczemniał i w jej też oczach, taką straszną goryczą skróś jej serce przejmował, takim krwawym rumieńcem jej oblicze okrywał, ilekroć ktoś jej przypomniał, że do niego sama należy!

Bolesne to uczucie było jednym z najopłakańszych skutków jej wychowania, z niem bowiem łączyło się i drugie, nie mniej dojmujące i nieszlachetne, a była to zawiść pełna niechęci do tych właśnie, z którymi tak pragnęła się zrównać, w których towarzystwie tak często doznawała upokorzenia, którzy mimo woli nawet i wiedzy, imponowali jej swą pozycją, w miarę rozwijających się jej pojęć, drażniąc ją tem coraz dotkliwiej, zwłaszcza gdy panna Frelon, co z początku i sama folwarkiem już nieraz dopiekła, zaczęła ją pouczać po swojemu zasad demokratycznych.

Ale na tem jeszcze nie koniec. Bezpośrednim wynikiem wychowania pałacowego i stosunków z arystokracją, była u Jagusi obłuda. Od dzieciństwa zmuszona zaprzeć się swej natury, gwałt we wszystkiem sobie zadając, choć w gruncie pozostała prawie tą samą, żywą i wrażliwą niezmiernie, nauczyła się jednak tak nad sobą panować, iż o tyle uczucia i wrażenia swoje jawiła, o ile jej było potrzeba, a co jeszcze smutniejsza, doszła do tej doskonałości, iż mogła się słodko uśmiechać, kiedy piersi gniewem kipiały, mogła najrzewniejszą minkę ułożyć, gdy śmiech pusty w sercu swawolił, mogła obojętną udać i zimną, gdy najbardziej była wzruszoną, równie jak się rozczulać i grać zapał na zimno. Mogła wreszcie, do czego pozycja ją zmuszała, być pokorną, cichą i skromną, ze wszystkiego zadowoloną, za wszystko dobrodziejkom swym wdzięczną, kiedy w duszy ambicja wzmagała się coraz potężniej, kiedy próżność i miłość własna, wzbijały się coraz to wyżej, a żądza coraz większa przepychu i świetności nigdy się zaspokoić niczem nie mogła.

To też na weselu pani Jadwigi tryumf pięknej Jagusi, co się zawsze w swem sercu za kopciuszka miała w obec Irenki i podobnych jej cór magnackich, był z niczem niezrównaną dla niej rozkoszą, upoił ją, odurzył, do reszty zawrócił głowę. Poznała całą swoją potęgę, uwierzyła w nią ostatecznie, powiedziała sobie z chlubą radosną: i ja też będę *Panią!* Po raz pierwszy jej próżność i nieszlachetna zawiść nasyciły się przecie: mimo ród swój folwarczny, mimo ubiór skromniuchny w porównaniu z strojem Irenki, wzięła nad nią górę na balu, upokorzyła ją zupełnie! Mogłoż być co pożądańszego?!

Dziwnem się wam może wydawać, aby wysoce urodzona młodzież, kolligaci i przyjaciele hrabiego i Czorsztyńskich, do tyla zapomnieli o swej godności, iżby się dobijali o jakąś tam ekonomówne i hołdy jej składali. Gotowiście pomyśleć, że chyba nikt z nich o jej pochodzeniu nie wiedział? Przeciwnie: nie jednemu od dawna tajnem już to nie było, a innych, wyznajmy prawdę, nie omieszkała oświecić w tem Irenka, co gniewna za jej tryumf tak świetny, chciała przez to i ją poniżyć i razem okryć wstydem jej wielbicieli, którzy się tak nie bacznie zaprzęgli do rydwanu, co był po prostu drabiniastym wozem folwarcznym. Ale chybiła celu, raz, że piękna i pięknie wychowana kobieta ma swe wyłączne prawa, a potém, że ta ekonomówna nie była ani sługą, ani przypadkową intruzką, tylko ulubioną pupillą dobroczynnej pani Jadwigi; wielu nawet było i takich, którym ta okoliczność jeszcze więcej werwy dodała, podnieciwszy ich do tem śmielszych awansów; z taką bowiem *panienką* można się było *pobałamucić*, do niczego się nie obowiązując, zwłaszcza, że jej śmiałość zbyteczna i pewność siebie, jej gwałtowna chęć podobania się wszystkim, były dosyć wyzywające.

Ale za to żeńska arystokracja jakże z góry ją traktowała! Z jaką pobożną zgrozą zalotnością jej się gorszyła! Te panie, co się na tych godach dopiero pierwszy raz z nią zetknęły, prawie się odwracały od niej z zimną pogardą, a dawniejsze znajome albo jej niepoznawały, albo niby życzliwe ostrzegały na stronie, aby *się nie zapominała*, bo złota młodzież względem dziewcząt ubogich skrupułami się nie związuje żadnemi; były nawet i takie, które starały się w nią wmówić, że to ubieganie się za nią paniczów jest po prostu tylko drwinami! Drżaniło to ambitną Jagusię i prze

pełniało tem gorętszą żądzą tryumfu; starała się być jeszcze milszą, jeszcze ponętniejszą dla mężczyzn i starania jej nie zawodziły. *(d. c. n.)*

POGADANKI EKONOMICZNE.

O podziale bogactw czyli wartości pomiędzy różne warstwy społeczeństwa.

VI.

O ZAROBKACH—O ZYSKACH—O DOCHODZIE Z ZIEMI.

Zastanawiając się nad każdym oświeconym narodem, spostrzegamy, iż dzieli się on na liczne bardzo klassy i warstwy, z których każda znów rozrasta się na gałęzie i odnogi idące w różnych bardzo kierunkach; dostrzegamy również, iż każda jednostka rozlicznych tych rozgałęzień, aby utrzymać się mogła, musi posiadać pewne konieczne warunki swojego bytu, czyli inaczej: każdy człowiek musi mieć *sposób do życia*. Te sposoby do życia, to jest środki utrzymania siebie i rodziny, są bardzo rozmaitej natury, wielce różne jedne od drugich, chociaż zazwyczaj ściśle z sobą złączone i wzajemnie od siebie zależące. Rozmaitość tę jednak zajęć ludzkich, wypływającą nietylko ze społecznego i materjalnego położenia człowieka, w jakiem na świat przychodzi, lecz mającą swoją podstawę i w osobistych zdolnościach i charakterze pojedynczych jednostek, tę rozmaitość sposobów utrzymania, powtarzamy, można podciągnąć pod trzy wielkie kategorje, w których cała działalność ekonomiczna każdego narodu się mieści.

Jakoż widzimy, iż w społeczeństwie każdem *bogactwo*, czyli wszelkie wyprodukowane wartości, rozdzielają się między trzy wielkie klassy, stanowiące najgłówniejsze warstwy narodu. Są one następujące:

Pierwsza: Ludzie utrzymujący się *z pracy rąk własnych*, czyli *zarabiający* na życie.

Druga: Ludzie utrzymujący się ze swoich *kapitałów*, to jest nagromadzonych oszczędności, którym nadają stosowne obroty czyli ciągnący z nich *zyski*.

Trzecia: Ludzie utrzymujący się z posiadania ziem, czyli żyjący z dochodów, jakie im ziemia przynosi.

Zazwyczaj w oświeconym kraju trzy te główne podziały rozdzielają się na wiele innych mniejszych, pośrednich: często jeden i ten sam człowiek należy nie do jednej tylko wyłącznie klassy, tak się rzecz ma np. z rzemieślnikiem zarabiającym własnemi rękami na życie, a przytem posiadającymi mały kapitalik na procencie. W tem samem położeniu znajduje się także przemysłowiec prowadzący fabrykę a prócz tego mający majątek ziemski. Zmiany w tych trzech głównych wyż przytoczonych warstwach społeczeństwa odbywają się jednak ciągle; ponieważ zawsze jedni ludzie *pracują* mniej a drudzy więcej, jedni są więc bogatsi, a drudzy ubożsi; granic jakichciś stałych, oznaczonych nie znajdujemy tu wcale, dla każdego droga przejścia z jednej klassy do drugiej stoi otworem, aby się tylko ku niej kierować umiano. Aby bogactwa, to jest wszelkie *wytworzone zamienne wartości*, rozdzielonemi być mogły między różne warstwy społeczeństwa, muszą być we właściwej formie i postaci wyprodukowane, a tą właśnie produkcją zajmują się trzy wielkie klassy w każdym narodzie niezbędnie istniejące i któreśmy wyżej wymienili. Każdego więc człowieka, czyto zarabiającego na życie własnemi rękoma, jak np. wyrobnik miejski lub wiejski parobek; czy to utrzymującego się z kapitału włożonego w jakiś handel lub przedsięwzięcie, z którego otrzymuje pewne zyski, jak np. fabrykant sukna lub kupiec bławatny; czy to nakoniec mającego swe utrzymanie z gospodarowania na własności ziemskiej, jako dzierżawca lub właściciel, każdego takiego człowieka, słusznie nazwiemy, człowiekiem *produkującym*, a klassę, czyli warstwę społeczeństwa do której należy, klassą *produkcyjną*. Lecz niemniej słusznie do klass produkcyjnych narodu, wypada nam zaliczyć wszystkich ludzi pracujących, chociażby praca ich nie miała na celu powiększenie ilości materjalnego bogactwa; nie każdy bowiem kto pracuje, produkuje czyli wytwarza *wprost* jakąś wartość, przysparzając tym sposobem ogólną massę nagromadzonego bogactwa; lecz nie ma takiego człowieka, któryby pracując nie przyczyniał się pośrednio do pomnożenia cyfry ogólnego bogactwa. Praca produkcyjna jest tak różnorodna, tak trudno jest oznaczyć granice gdzie się zamyka produkcja czysto materjalna, a gdzie jej przychodzi w pomoc rozum ludzki czyli siła duchowa człowieka i nawzajem, iż zdaniem naszem, do kategorji klass produkcyjnych, koniecznie zaliczyć wypada, wszystkich, czy to *fizycznie* czy *umysłowo* pracujących ludzi. Uważanie zaś jako klassy produkcyjne, tylko te indywidua, które się wprost produkcją materjalnych wartości zajmują, z pominieniem innych klass narodu, jak to czynią niektórzy ekonomiści, uważamy za niewłaściwe, a nawet fałszywe i z moralnym poglądem na cel i dążność nauki, niezgodne.

Badając rozmaite formy bogactwa, przekonywamy się, iż w każdym narodzie liczba ludzi nie posiadających żadnych zamiennych wartości, oprócz rąk własnych, jest bardzo znaczna. Po miastach nazywają się oni robotnikami, czeladnikami, terminatorami, rzemieślnikami; po wsiach parobkami, najemnikami, wyrobnikami, i t. d. i za pracę otrzymują pewne wynagrodzenie, z którego żyją. Ta ich zapłata nazywa się *zarobkiem*. Ludzie do téj warstwy społeczeństwa należący są zwykle biedni, stoją na nizkim szczeblu oświaty i przez całe życie ciężko pracować muszą. To co zarabiają rzadko wynosi coś więcej, niż ich konieczne potrzeby i dla tego robić oszczędności jest im bardzo trudno. A jednak aby z ubogiego stać się przynajmniej zamożnym, koniecznie *oszczędzać* trzeba, bo to jest jedyny tylko środek dojścia do dobrobytu. I jest to rzeczą bardzo piękną, gdy widzimy ludzi, którzy dzięki niezmordowanej wytrwałości i pracy, dochodzą do majątku; umieją się oni ograniczać w początkach trudnego swego zawodu i zebrane przez długie lata oszczędności produkcyjnie, i ze znaczną dla siebie korzyścią używać. Aby jednak zarobkujący mógł coś zarobić, potrzebuje znaleść takiego coby mu dał robotę. Dający zaś robotę, potrzebuje mieć pieniądze lub inne wartości, któremi by mógł za robotę zapłacić, inaczej mówiąc, musi on mieć kapitał w gotówce, lub w jakim przemysłowym zakładzie lub handlu, który *zysk* jakiś przynosi; inaczej bowiem, ani roboty by potrzebował, ani by był w stanie robotnika za nią wynagrodzić. Jeśli więc robotnik znajduje zatrudnienie i za dzienną jego pracę, dają mu odpowiednie wynagrodzenie, to już przypuścić nam wypada, że znalazł takiego co pracy jego potrzebuje i dla tego wynagradza go, że na tej pracy jeszcze coś zyskać może. Jakoż tak jest w istocie; gdyby, dajmy na to, fabrykant sukna nie miał w swej fabryce 50 czy 100 robotników, niemógłby swej fabryki prowadzić i niemógłby żadnych z niej ciągnąć zysków, tak samo z drugiej strony ciż 50 czy 100 robotników, gdyby nie znalezli fabrykanta co im daje zarobek, nie mieliby się z czego utrzymać. Widzimy więc że wspólny tu jest interes i wspólna potrzeba: robotnicy otrzymują zapłatę (zarobek) a fabrykant zysk z włożonego kapitału w swój zakład przemysłowy. Jak w tym naszym przykładzie o fabrykancie sukna i jego robotnikach, tak i w innych gałęziach produkcyjnej pracy, znajdują się zawsze tacy, co dają zarobek i tacy co go otrzymują jako wynagrodzenie za swę pracę. Ci co dają, zyskują na wyrobach otrzymanych z pracy robotników; ci co biorą zapłatę, żyją z niej i oszczędzają, ażeby w swoją kolej, oszczędności te

obrócić na pracę innych ludzi i nowe zyski z niej ciągnąć. Mamy więc już dwie wielkie klasy narodu: pierwszą *zarobkującą*, drugą *dającą* zarobek i *mającą zysk*. Trzecią zaś wielką klassę, znajdujemy w posiadaczach ziemi. Produkują oni i również dają oni zarobek, lecz w zamian otrzymują nie zysk lecz *dochód*, tem się różniący od zysku, że jest, można powiedzieć, darem natury, która ziemię *płodną* uczyniła, a człowiek tylko tę płodność na swą korzyść i pożytek obrócił. Ta trzecia więc wielka klassa z dwoma poprzedniemi, kompletuje to wszystko, w czem się społeczeństwo produkcyjnie objawić może.

Łatwo zrozumieć, iż odpowiednio do środków gromadzących się w rękach pojedynczych jednostek a należących do jednej z tych trzech wielkich podziałów społeczeństwa, gromadzą się i bogactwa czyli wartości czyli inaczej, czem kto wiecej może mieć na własność swoję pracy innych ludzi, tem więcej może mieć wyprodukowanych przez tychże ludzi wartości. I czem kto ma więcej kapitałów, to jest nagromadzonych i zaoszczędzonych już wartości (bogactwa), tem cyfra jego zysków będzie znaczniejsza. A jeśli ktoś w ręku swem łączy wyprodukowane bogactwo i ziemię, ten staje na najwyższym szczeblu ziemskiego dobrobytu. Lecz w ogóle, tak wolą Opatrzności jak i prawem natury, które chciały, aby wszystko dobro na ziemi, wszystkim ludziom służyło, bogactwo dzieli się między różne warstwy społeczeństwa z pewnym rodzajem stopniowego rozwoju; każdemu człowiekowi dostaje się jakaś cząstka bogactwa, którą pracą i zabiegliwością swą pomnożyć może.

Jest to rzeczą godną najgłębszego uwielbienia dla Najwyższej Mądrości, gdy umysł nasz, objąwszy w jedną całość tysiączne odnogi produkcji i działalności ludzkiej, dostrzega w nich, pomimo pozornego nieporządku i ścierania się, jak największą spójnię i zgodę. Wspaniały to i piękny jest widok dla myśliciela, gdy bada tę wielką i nieporównaną machinę, która się rodzajem ludzkim nazywa; widzi on wtedy, jak wszystkie pojedyncze składające ją cząstki, służą ku ogólnej korzyści, ku ogólnemu pożytkowi; jak jedna gałąź pracy przychodzi w pomoc drugiej; jak się bez siebie obejść nie mogą; jak jedna bez drugiej rozwija się niedokładnie; jak jednem słowem, żadna praca nie jest lepszą od drugiej. W ekonomicznem naukowem i moralnem znaczeniu, czy ten co własnemi rękami pracuje, czy ten co prowadzi miljonową fabrykę, czy ten nakoniec, co posiada tysiące morgów ziemi, jednakową mają wartość. A i ci co pośrednio swą pracą i trudami przychodzą im w pomoc, którzy oświecają ciemnych, wymierzają sprawiedliwość, bronią kraju, tworzą wielkie i piękne dzieła, robią zdumiewające wynalazki i ulepszenia, wreszcie ci wszyscy, co pracą swą, przyczyniają się do dobrobytu, zamożności i rozwoju społeczeństwa, należą do klass produkcyjnych narodu. Tylko ci nieszczęśliwi i słabi ludzie, którzy zmarnowawszy swą młodość, strwoniwszy majątek oszczędnością swych rodziców zebrany lub jeśli go nie mieli, nie umiejący na swe utrzymanie zarobić i spożywać słodkiego kawałka chleba *własną pracą* zdobytego, tylko ci ludzie, których nazwać można umarłymi wśród żyjącej i pracującej w pocie czoła rodziny ludzkiej, stanowią klassę *nieprodukcyjną* w narodzie; a klassę tę, i religja, i moralność, i nauka nasza, stanowczo potępiają. Kto zaś pracuje, temu się słusznie część ogólnego bogactwa należy i w istocie, człowiek pracujący najprzód zaczyna od *zarobku*, następnie przechodzi do *zysków*, a w końcu ma i *dochody z ziemi*.

Dla dokładniejszego objaśnienia czytelników naszych, tak co do natury zysków jak i dochodów z ziemi, która początek swój bierze z *kapitału*, przyszłą pogadankę, poświęcimy rozbiorowi pytania: ,,Co to jest *kapitał*, jak się tworzy? jak się używa? i jak się dzieli?"

Konstanty Wzdulski.

SZYB KOPALNY ZEGARMISTRZA

Dziwny tytuł, ależ bo i dziwny wypadek. Jakiś zegarmistrz na wyspie Malcie na wybrzeżu miał kawałek skalistego gruntu. Zamiast pilnować swego fachu, który mu zapewniał przyzwoite utrzymanie i pozwolił nieco zaoszczędzić grosza, zamarzył o sławie i bogactwach. Ubrdało mu się, że jak zbierze wodę morską do sztucznie utworzonego rezerwoaru, woda od promieni słonecznych wyparuje, a jemu w zysku czysta sól zostanie. Otóż czyniąc poszukiwania, przekonał się że pod powierzchnią jego skały znajduje się grota łącząca się z morzem, zrobił tedy otwór i woda napełniła przygotowane rozerwoary i codzień z nich ubywała. Nasz zegarmistrz zawczasu klaskał w ręce, pewny wygranej; a gdy sięgał już po sól, znalazł tylko brudny muł, jaki powstał z rozpuszczonej przez kwas solny skały, a woda szczęśliwie przez rozmiękczoną massę wracała do morza.

Stało się to latem, w początkach bieżącego stulecia. Skoro nadeszły jesienne burze, wichry wstrząsając morzem, napędziły do owej groty wodę, która znalazłszy tam wolny otwór, takowym wypadła w postaci kryształowego strumienia, tak grubego jak otwór studni, przeszło 60 stóp nad powierzchnię. Z tej wysokości, porwana przez też massy, poszarpana na miljony kropelek, zaległa okoliczną przestrzeń na milę, przez co ziemia wypalona od słonego deszczu, stała się nagą, wszelkiej roślinności pozbawioną.

Poszkodowani w ten sposób właściciele pól sąsiednich pozwali niefortunnego przedsiębiercę o wynagrodzenie zrządzonych im szkód. Przy osłabionem zdrowiu nie przeniósł on tylu przeciwności, zszedł z tego świata, pozostawiając od swojej profesyi nazwę owemu szybowi. Wyszedł on na kształt tego, jak nasz Zabłocki na mydle, który, chcąc dorobić się prędko fortuny, morzem sprowadzał zakupione mydło, a statku ani zewnątrz ani wewnątrz należycie nie opatrzył, tak że woda mydło zabrała.

Ale wracając do naszej Malty, mieszkańcy, chcąc zapobiedz ustawicznym stratom z niebywałego dotąd wybuchu słonej wody wynikającym, zasypali ów otwór głazami, przez co stało się nowe zjawisko. Oto powietrze pozostałe w grocie, walcząc z wciskającą się wodą, powodowało huki straszliwe, podobne do wystrzałów armatnich. Mniejsza już z temi grzmotami, które zresztą co jesień roznoszą trwogę po całych dniach i nocach ale, co gorsza, woda w ustawicznem ścieraniu się z naciskającemi skałami, powoli je rozkłada i znowu w górę strzela, tak że zasypanie studni wystarcza na czas jakiś. Czy i jak temu ostatecznie zaradzono, niewiadomo jest autorowi artykułu, z którego tę wiadomość poczerpnęliśmy, dla nauki naszych czytelników: że najlepiej zawsze pilnować swego rzemiosła, nie poświęcać się dla urzeczywistnienia ważnych w naszem przekonaniu pomysłów, które w oczach światłego człowieka są istnemi mrzonkami.

Aloizy Kuczyński.

ROZMAITOŚCI.

— **Przewodniki dla rzemieślników.** Czytamy w Kurjerze *Warszawskim:* Przed kilku laty, przedsięwzięto u nas wydawnictwo, które wielkiej użyteczności, mogłoby najkorzystniejszy wpływ wywierać. Wydawnictwo to pod ogólnym tytułem: *Bibljoteki rzemieślniczej*, obejmować miało przewodniki do nauki wszelkich rzemiosł i rękodzieł. Jakoż

wyszły już: przewodnik dla stolarzy, garbarzy, kowali i giserów, o ile nam wiadomo, w dalszym ciągu przygotowywa się przewodnik dla cieślów. Przypominając interessowanym czytelnikom o istnieniu tak pożytecznych dzieł w języku polskim, nadmieniamy zarazem: że wydawca chcąc umożebnić nabycie tych przewodników, tak uczniom szkół rzemieślniczych, jak i mniej zamożnym rzemieślnikom, *zniża cenę ich do nowego roku* o połowę t. j. przewodnik dla stolarzy z rs. 1 k. 50 na k. 75, dla kowali z rs. 1 na kop. 50, dla giserów z kop. 90 na k. 45, a dla garbarzy z kop. 25 na k. 15. Po upływie tego czasu wydawca zastrzega sobie prawo przywrócenia cen poprzednich. Dzieła powyższe są do nabycia we wszystkich księgarniach i na prowincji. Skład główny u Gebetnera i Wolffa.



Wit Stwosz (do strony 378-ej).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej— Redaktor: Adam Mieczyński.